

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

17

Dzbanek tak silnie zadrżał w ręku młodej kobiety, że trochę wody plusnęło na podłogę.

— Patrz! Co robisz?! — krzyknęła świekra — Podłogę zalewasz!... Niezdara!... I czego ty do kuchni łazisz!... Nie możesz zadzwonić?... Naturalnie, tobie się chce po wszystkich kątach węszyć i do garnków zaglądać!... A może na kuchennych schodach kawalera jakiego upatrujesz? Tobo było coś w sam raz dla ciebie!

Z zaciśniętymi zębami, bez słowa, poszła Józia do swego pokoju. Tylko ogniste wypieki i falująca pierś świadczyły o wzburzeniu, jakie nią miotano.

Gdyby nawet mówić chciała — nie zdołałaby, tak ją dławilo w gardle.

Ze stukiem zamknęła drzwi za sobą, postawiła dzbanek na umywalni i zatopiwszy ręce we włosach, jęła biegać po pokoju, jak uwięzione, zrozpaczone zwierzę po klatce.

— Boże!... Boże!... Zmiłuj się nadenmą!... Co ja mam robić?!... Co ja mam robić?! Jak żyć tutaj?!... Kto mi pomoże?! Kto mi doradzi?!... Jaka ja jestem sama, sama... i bezradna!...

Po chwili uspokoiła się trochę, wypila łyk zimnej kawy, usiadła przy stole i oparła na ręce rozpalone czoło.

— Ona ma rację! Co ja tutaj mam swego? Nic!... Trochę tych nędznych łachów! Nawet tyle nie mam, żebym sobie bilet kupić mogła, gdybym chciała odjechać!...

Pochwyciła ręczną torebkę, wyjęła z niej portmoneikę i gorączkowo zaczęła przegrzebywać zawartość.

Wypadło kilka żelaznych dwudziestohalerzów — i jeden dwukoronowy banknot.

— Przecież ja niedługo na marki nie będę miała!... Skąd tu wziąć pieniędzy?... Napisać do ojca?! Nigdy!... Do Anielki? Także nie! Pożyczyć? Od kogo?...

Wreszcie po dłuższym namyśle powzięła postanowienie.

Z zamykanej szuflady w komodzie wydobyła niewielką szkatułkę z czarnego drzewa, w której przechowywała pamiątkowe klejnociki po matce: zegarek złoty z łańcuszkiem, sznurek koralu, broszkę z perełkami i pierścionek z turkusem.

Zdecydowała się, że coś z tego sprzeda, ale żal jej było rozstawać się z pamiątkami. Długo oglądała każdy przedmiot po kolei, aż wreszcie odłożyła na bok broszkę, przeznaczając ją do sprzedania.

Nie miała jednak pojęcia, jaką to może mieć wartość i nie wiedziała, gdzie szukać nabywcy.

Kogo zapytać?... Służącą? Niepodobna!

— Może Łuniewski... — przemknęło jej przez głowę, ale zaraz odrzuciła tę myśl, jako niedorzeczną.

— Muszę sprzedać!... Muszę przecie mieć choć na marki!...

Przez skojarzenie wyobrażeń, marki przywiodły jej na pamięć smagła, o płomienistych oczach twarz urzędniczki pocztowej.

— Larchówna! Tak, ona! Pójdę do niej dzisiaj jeszcze. Przecież mnie zapraszała.

Józia spojrzała na stojący na kominku zegar. Wskazywał dziesięć minut po szóstej. O szóstej zamykano pocztę. Zastanie więc Larchównę w domu.

Bardzo szybko ubrała się i wyszła.

Kiedy odsuwała zastrask w przedpokoju, uchyliła się ciężka pluszowa kotara i z głębi mieszkania wyjrzała Lola.

— Teraz na spacer?... — zapytała panna Żarnicka z nieukrywana ironią. — Tak późno?... I dokądże to, jeżeli wolno wiedzieć?... Pewnie wybierasz się na schadzki... O tej porze właśnie urzędnicy wychodzą z biur!...

Zaśmiała się głośno i szyderczo.

Józia miała już na dzisiaj dosyć tych ukłuc.

— Idę, gdzie mi się podoba! — zawołała i trzasnęła drzwiami za sobą.

Już na schodach żałowała swego gniewnego uniesienia.

— Po co ja jej tak ostro odpowiedziałam?... Lepiej było może zamilczeć!... Ale czy one powarowały z temi schadzki? Właśnie mnie te-

raz schadzki w głowie... Doprawdy, tak mnie to już złości, że, gdybym mniej kochała Konrada, tobym sobie istotnie urządziła jaką „randkę“... Przecież znalazłby się jeszcze jaki „fatygant“...

Uśmiechnęła się leciutko, przeświadczona, że znalazłby się napewno i to nie jeden.

Zamyślona, schodziła ze schodów. Zastanowiła ją złośliwa aluzja Loli o zamykaniu biur. Cóżby to miało znaczyć?...

Józia nagle przystanęła i uderzyła się ręką w czoło.

— Aha! To jej pewnie o tego Łuniewskiego chodzi!... Także się wybrała!... Co mnie do niego!... Ja przecież nie jestem temu winna, że on tak jakoś do niej nie bardzo!...

Przecięła rynek i skierowała się na ulicę Długosza.

Nowa myśl błysnęła jej teraz w głowie i ścisnęła jej serce bolesnym, trwożnym przecuciem:

— One mnie obmalują przed Konradem!...

Po chwili jednak odpowiedziała sobie z ufnością kobiety zakochanej i pewnej wzajemnej ufności:

— On przecież nie uwierzył!...

— — — — —

— Proszę! — zabrzmiał niski, dźwięczny głos Larchówny.

Wchodzącą do pokoju Józję owionął silny, zmieszany, duszący prawie zapach kwiatów.

Pełno tam było kwiatów, niby w sklepie ogrodniczym: polnych i ogrodowych, ciętych i w doniczkach.

Stały na stole, na stolikach, na oknie, na ziemi: w szklanych flakonach, porcelanowych wazonach, w glinianych dzbankach i doniczkach.

Wielkie bukiety bzu, czeremchy, konwalii, misterner wiązanki fiołków, luźne wiązki rumianków i chabrow, kwitnące w wazonach róże miesięczne i białe, różowe, lila hyacenty.

Drugą cechą charakterystyczną tego, skądinąd bardzo skromnie umeblowanego mieszkania, była pokaźna ilość książek. Zapelniały one oszkloną szafkę i etażerkę o kilku pułkach, kilka nieoprawnych tomów leżało na stole.

Larchówna, ubrana w ponsowe „kimono“, gotowała na „primusie“ herbatę.

Jej ogromne, krucze, faliste włosy, splecione w dwa warkoczki i puszczone luźno, wily się po plecach, odcinając od ponsowej materii, jak długie, czarne węże.

Na widok Józii jakiś błysk zadowolenia mignął w oczach urzędniczki.

— Pani Józio!... A to niespodzianka!... Już przestałam oczekiwać, bo tak kombinowałam, że choćby pani miała odrobinę ochoty, to sroga świekra gotowa panią za taką eskapadę... postawić do kąta.

Zaśmiała się, a śmiech miała dziwnie ładny.

— Czy nie przeszkadzam? — zapytała trochę nieśmiało Józia, przestępując próg.

— Cóż znów!... Bardzo jestem zadowolona, że panią widzę! — uściśnęła mocno rękę młodej mężatki i pociągnęła Józję ku wąskiej, krótkiej, szarem płótnem obciągniętej sofce.

— Niechże pani siądzie na tym niezbyt paradnym, ale najmniejszym w tym lokalu meblu... Napije się pani ze mną cieniutkiej herbatki?

— Chętnie. Ależ pani pokój, to istny ogród, a co książek!

— Bo kwiaty i książki to są moi przyjaciele najleps! — odparła Larchówna — Co prawda, budzi to w Łykowie wielkie zgorszenie, że ja, marna pocziarka, wydaję tyle pieniędzy na „bady“ i na „szpargały“. Ale ja dbam o te gadania, jak o śnieg zeszłoroczny, nawet mniej!...

— Ach! Te łykowskie gadania! — westchnęła Józia.

— Co? I pani już dokuczyły? — Larchówna powróciła do maszynki i zgasiła ją, bo woda już kipiała.

Józia nie odpowiedziała. Patrzyła na Larchównę, uderzona w tej chwili jej oryginalną urodą wędnącej cygańskiej krasawicy.

Z podziwem przesunęła wzrok po jej niezwykle długich i gęstych włosach.

Larchówna spostrzegła to.

— Cięża mi włosy — rzekła — cierpię na bóle głowy!...

— Prześliczne ma pani włosy!...

— E! Co mi z tego!

Przysunęła do sofki niski, okrągły stoliczek, nałaziła dwie szklanki herbaty, jedną postawiła przed Józją, a drugą zaczęła pić sama.

— Na przekąskę pani nie proszę, bo mam tylko „wojenny“ chleb z „wojenna“ marmolada.

U Żarnickich z pewnością jada się nieco wykwintniejsze przysmaki!...

Józia za całą odpowiedź machnęła ręką. Kąty świeżych ust młodej kobiety zagięły się w dół, postarzając twarz wyrazem gorzkości i zniechęcenia.

Czarne oczy Larchówny spojrzały na nią przenikliwie, ale jakoś ciepło.

Gospodyni wstała i wyciągnęła szpilkę z kapelusza gościa.

— O tak! Niech pani zdejmie kapelusz.

Pieszczoliwym, macierzyńskim ruchem powiodła po puszystych, lśniących splotach Józii.

— O! Cóż za minka zasępiona! I jakie oczka smutne!... Jak to biedne dziecko zmizerniało!... Przygasło!... Ciężko pani, prawda?

Józia nie próbowała nawet przeczyć. W milczeniu poddawała się tej pieszczocie, spragniona dobrego słowa. Na rzęsach młodej kobiety wisały krople łez, gotowe za chwilę spłynąć.

— No! Nie płakać!... Łzy to najmniej produktywna rzecz, a człowiek musi być praktyczny! Rozumie pani, musi!... Bo życie jest twarde!... No, pijmyż tę herbatę, której największa i jedyną zaletę stanowi to, że jest gorąca.

— Przepraszam panią za moje dziecinne zachowanie się! — szepnęła Józia.

— Niechże pani da spokój!... Właśnie mnie to cieszy, że pani zachowuje się szczerze.

Zaczęły pić herbatę i przez chwilę piły w milczeniu, obserwując się nawzajem z ciekawością, u Larchówny bardziej wyraźną i bezceremonialną, a u młodej Żarnickiej więcej dyskretną.

Jednej i drugiej cisnęły się na usta zapytania, których wyrzec nie pozwalała delikatność. Wreszcie Larchówna odstawiła swoją szklankę i zaczęła:

— Wie pani, ja nie lubię sytuacji niejasnych i drażliwych niedomówień. I dlatego nie chciałabym, aby między nami!... Nie chciałabym żeby pani wpadała na trop jakichś fałszywych przypuszczeń, czy podejrzeń!... To też wolę powiedzieć pani prawdę, niż czekać, aż ktoś inny opowie bajdę!...

Józia zarumieniła się mocno, bo domyśliła się, o czym Larchówna chce mówić.

— Musiała pani pewnie słyszeć o tem, że przed kilku laty byłam prawie że narzeczoną Konrada Żarnickiego?...

Zapanowała chwila kłopotliwego milczenia.

— Wyraźnie mi nikt nie mówił, ale tak coś napomykano!...

— Niechże się pani tak nie czerwieni, bo ja tę całą rzecz traktuję bardzo prosto i naturalnie!... Było tam coś, nawiasem mówiąc, wielkie głupstwo, minęło i nie ma!... Nie mam do męża pani żadnego żalu, ani żadnych pretensji, a tem mniej do pani samej!... Żarnicka uderzyła oczywiście wówczas w wielki dzwon na alarm. Starała się nawet o to, aby mnie z pocztą wyrzuciono!... Niepotrzebnie się zresztą tak lękała, bo i bez jej gorliwej interwencji nicby z tego nie było!... Byliśmy bowiem słosowni dla siebie, jak... no, nie chcę wysilać się na porównania!...

Józia, słuchając ze spuszczonej oczyma, stała się już tak prawie czerwona, jak ponsowe „kimono“ Larchówny. Nielitościwie gnioiła i skubala jedną ze swoich rękawiczek, przy której oberwała już wszystkie guziczki. Żałowała w tej chwili, że przysłała tutaj.

Larchówna spojrzała na nią i przerwała swoje opowiadanie.

— Pani Józio, cóż to za raki?!... I czego pani tak się znęca nad tą nieszczęsną rękawiczką?!... Ech! Widzę, że moja szczerść wywołuje zupełnie niepożądany skutek!...

Zaczęła śmiać się szczerze, swobodnie, naturalnie.

— Prawda, zapomniałam, że z pani jeszcze pół-dziecko, no i młoda mężatka!... Ja tam te sprawy trochę inaczej biorę!... Miałam już czelech narzeczonych i wszystkich wspominałam w zupełnej równowadze ducha!... No, ale ja jestem twór Boski trochę dziwny, a osobliwy!... Jeszcze się pani czerwieni?... Zrobiłam pani przykrość?...

— Przykrość właściwie!... ale!... tak!... ja!... — bąkała młoda kobieta.

— Dobrze, dobrze! Nie będziemy już o tem więcej mówiły, chyba, że pani sama zechce. Dlatego zaczęłam o tem wogóle, aby panią przekonać, że narzuciłam, bo szczerze mówiąc, narzuciłam swoją znajomość bez jakiegokolwiek ubocznych celów. O! Proszu dlatego, że mi się pani spodobała, jak rzadko kto.